

HARCERZ



TYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ.

Rok III.

Grudzień 1919 r.

Nr. 45—48.

Cena 3 marki.

*W milionie głów myśl jedna niechaj żyje,
I jedna pieśń niech wzleci z naszych ton.*

Braterstwo serc — nad stal jest zbroją tęgą.

Kazimierz Tetmajer.

Filomaci.

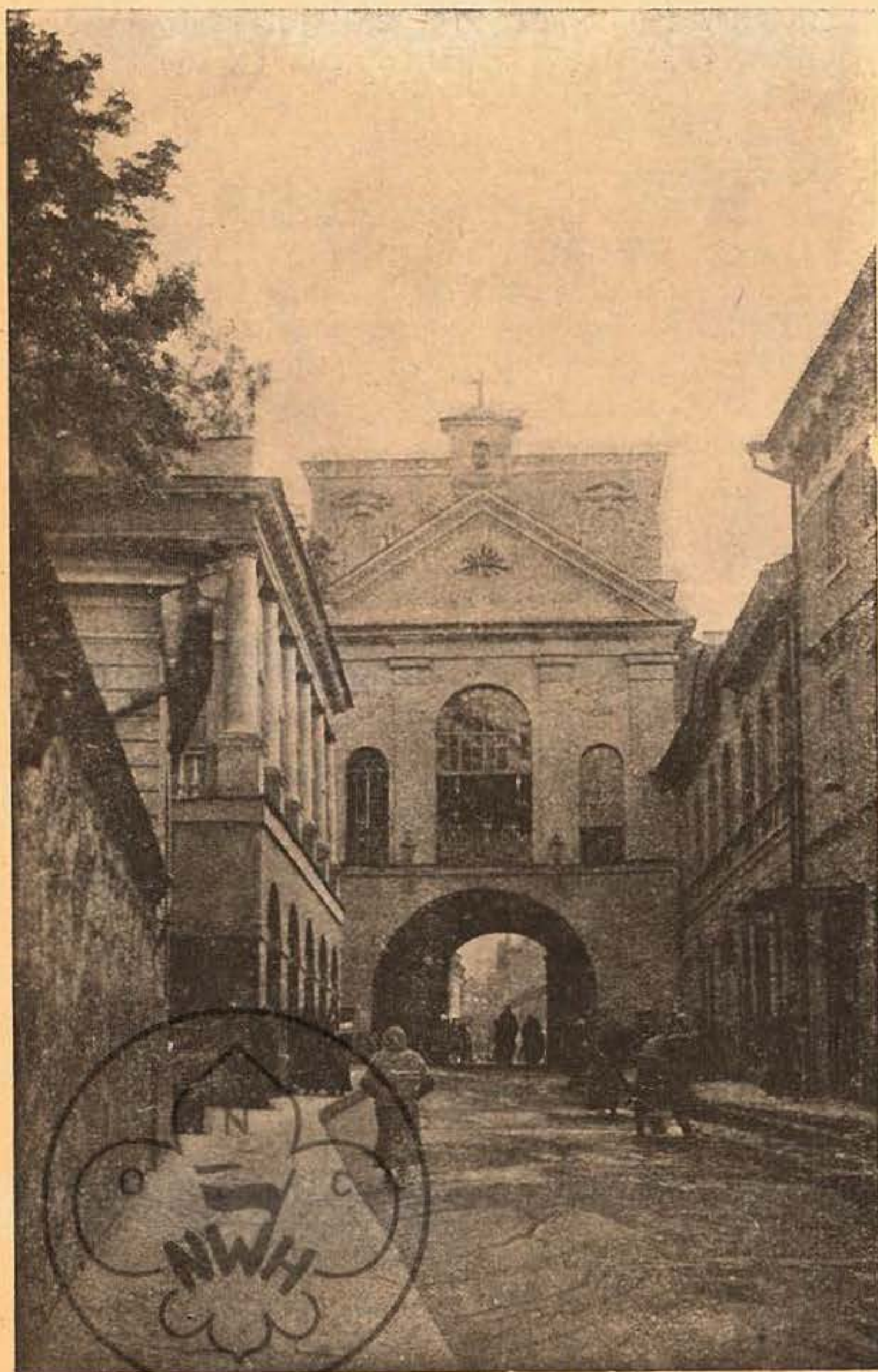
(z powodu otwarcia uniwersytetu w Wilnie).

Gdyby w Wilnie światło nie zajaśniało
możeby zgasło dla Polaków i ich mowy.
Koźłataj.

W momentach dziejowego upadku ducha w narodzie polskim, w momentach niewiary w lepszą i jaśniejszą przyszłość, gdy zda się nasze życie narodowe zakopywaliśmy we własnej niemocy, nieprzewidziane powstawały jakieś nowe potężne technienia, które jak wichry nacierały na zbutwiałe podwaliny starych pojęć, rozświecały smutną terażniejszość i jak niegasnący znicz długo przyświecały pokoleniom następnym. Tak w roku 1791 Konstytucja 3-go Maja wykazała, iż pomimo wszystkie zewnętrzne pozory „jest w narodzie siła niespożyta“, tak w roku 1817 Filomaci wykazali, że jest i będzie odtąd zawsze w każdym pokoleniu ów pierwiastek zdrowy i twórczy, będący duszy polskiej najwspanialszym wykwitem, najdoskonalszym uosobieniem patriotyzmu, który zwycięsko wyjdzie z bohaterkiej walki szarego codziennego życia, który w trudzie i znoju wykuje nowe prawdy, będące podstawą odrodzenia narodu i ludzkości.

Ilekroć się mówi o Filomatach nie można nie skłonić kornie głowy przed tą garstką młodzieńców, którzy potrafili z jakąś tytaniczną siłą sprawować rząd dusz młodzieży przez tyle pokoleń, którzy w najcięższych momentach mieli odwagę powiedzieć sobie, że nas właśnie potrzeba, nas młodych, nowych, śmiałych, niezmordowanych, nas, którzy tworzyć będziemy „atmosferę bohaterstwa, sławy i boju—boju z samym sobą i z światem“.

I dziwnym się wydać może, że ten nowy źródło odrodzenia duchowego, zw. Filomatów, wytrysnął nie



archiwum
Ostra Brama w Wilnie.

w sercu Polski, lecz na kresach, choć z czasem objął cały organizm narodowy i skupił w sobie wszystkie drgnienia woli polskiej, skutej łańcuchem ciemności.

Rozgwar wielkiego miasta, bujnie rozwinięte życie i walki polityczne nie mogły stworzyć tej atmosfery moralnej, potrzebnej do skryształowania się takich typów jak Zan, Mickiewicz i inni.

Im właśnie trzeba było tego powietrza Wileńskiego, tej zacisznej prowincji i mimo to wyczuwającej najłżejsze technienie, idące z Ojczyzny, im trzeba było tej żywej gromady braterskiej, aby wy dobyć z siebie całą moc duchową, która w nich istniała, rozlać ją szerokim potokiem wśród społeczeństwa i uczynić tak wieczną i trwałą, jak zwycięstwo wspartego na własnej pracy człowieka.

Jeżowski, najstarszy ze wszystkich, najpoważniejszy, niezmiernie surowych obyczajów, piastujący godność prezydenta aż do rozwiązania towarzystwa. Domejko powiada o nim, iż „najczęściej zadumany, Jeżowski mówił mało i rzadko kiedy wdawał się w sprzeczki i dyskusje, a kiedy zabierał głos w rzeczy, tycejącej dobra kraju, to zawsze mówił spokojnie, poprawnie, z najsurowszą logiką i do przekonania“. Szedł w drogę obroną przez siebie z całą świadomością człowieka, który wie, co osiągnie w życiu, z jakimś wewnętrznym poczuciem własnej siły, która mu nie pozwoli załamać się w zwątpieniu, lecz każe wydobyć prawdę choćby z dna kipiącego żywiołu, lub zdruzgocze go jak głaz oderwany od skały macierzystej. I gdy się patrzy z oddalenia na tę postać jak ze stali wykutą mimo woli przychodzi na myśl słowa Brzozowskiego, że „zwyciężają ci, co najwięcej mają odwagi dla siebie i od siebie żądać“.

Zan—dusza całego towarzystwa, zawsze wesoły, żartobliwy, niezmiernie uczuciowy o usposobieniu nieco kobiecym, łatwo wpadał w uniesienie, a wówczas mówiono, że „z jego czola i oczu strzelały jakby promienie, które zdobywał i pokonywał serca tych, co go słuchali“. Czarował swoją prostotą w obejściu i zarazem jakąś równowagą i harmonją wewnętrzną. Na ile go cenili koledzy świadczy choćby pełne prostoty słowa Frejenda: „Ja bym życie oddał, aby o chwil parę przedłużyć życie takiego jak ty człowieka“. Nazwisko Zana jak myt przeszło do tradycji, i dotąd, jak powiada Gawalewicz „powtarzane jest ze czcią jakiegoś bóstwa pomarłych pradziadów“.

„Mickiewicz był w gronie filomatów jakby jakąś istotą nadziemską, wyższą, był jakby kapłanem swego odczucia, duszą i płomieniem towarzystwa. Mówiono go i czczono jako najgorętszy i najbardziej świecący punkt tego duchowego ogniska, za jego mowy i za jego pieśni, które śpiewano, a które panował, ożywiały, utrzymywał ducha między młodzieżą. Wielka dusza w zaraniu swego życia oświecała tajne drogi filomatycznej organizacji Ra-

dzono się go w rzeczach, tycejących się kierunku zasad i celów, słuchano go „bo jego sokole oko widziało dobrze i daleko“, a kiedy nawet wyjechał do Kowna „choć oddalony na wiele mil“, „był duszą Filomatów, a z czasem duszą całego narodu“. (Dr. J. Lewicki)

Tych trzech tak innych i jeszcze kilku wiernych druhów związanym serdecznym węzłem przyjaźni, wytworzyło male, ciche pierwsze ognisko filomackie, gdzie wyrabiał się silny, pełen zaparcia charakter. Najciekawszym momentem jest to, iż Filomaci rozumieli, że nie tylko nauka i praca ale i szlachetna zabawa jest doskonałym czynnikiem wychowawczym. To też śmiano się na zebraniach filomackich, cieszą się z życia i swej młodości, a dowcipy sypały się jak skry z ścierających się dwóch kling damaseńskich. I w tym zdrowym, szczerym ich śmiechu zawierała się też olbrzymia potęga — „śmiano się nie na jednym z niezdobytch bastjonów“.

I z tego zrzeczenia kilku przyjaciół w celach wspólnej pracy i zabawy rozgałęził się olbrzymi związek Filarecki, który ogarnął całą lepszą część młodzieży Wileńskiej. Wśród Filaretów zapanował niewypowiedziany zapał do nauki, do pracy, do wszechstronnego kształcenia się, rozplamieniał się ogień duchowy w sercach i pragnieniem lotu skrzydła wrosłały u ramion.

Związani piętnastoma prawidłami filomackimi, wsparci braterskiem uczuciem przyjaźni, tworzyli jeden potężny organizm moralny i szli w wieczną służbę Ojczyzny i ludzkości, roztańczając plan bohatera twórczego życia przed łamiącą się w rozterce wewnętrznej duszą polską, ujętą w najwyrafinowane okowy niewoli.

I powoli wśród Filomatów powstaje to przeświadczenie, iż zadaniem ich jest nie tylko praca ku odrodzeniu młodzieży, ale praca ku odrodzeniu całego Polski, drogą podtrzymywania wszystkich lepszych poczynań w społeczeństwie, drogą dalszej ustawicznej pracy nad sobą, bo „trzeba czemś być aby coś zdziałać“, drogą niesienia pochodni oświaty i uświadomienia narodowego do najszerzych warstw ludności.

W kilka lat potem towarzystwo filomacko-filareckie wciągnięte w tryby nagiej smutnej rzeczywistości, przestało egzystować.

Wygnań z kraju, rozbiegły się w świat te duchy czyste i jasne z wiecznie tlejącym ogniskiem dla sprawy w sercu, ale ideały ich przez geniusz Mickiewicza zabłysły całej Polsce i wrosły w trwałą treść świadomości narodowej.

Na tej podwalinie budowała się Polska przez lat 100, zyskując w niej niespożyty moc ducha. I gdyby nie ta garstka Filomatów, to możeby nad Polską duchową nastalaby noc, o której mówi Carlyle, „że w niej już nie będzie czynów“.

R.

Kijów — Warszawa.

Przegląd lotny z podróży w lecie r. 1919-go przez front bolszewicki.

(Ciąg dalszy).

Codziennie słyszeliśmy granie armat w oddali kierunku Pińska — w ostatnich dziesięciu dniach głośnie bliżej i bliżej...

Głuche wieści krążyły o rozpoczynającej się nazywie wojsk polskich, o naszych barwnych ulach ciągnących podobno na Turów w celu odcięcia nińca, o potyczkach podjazdów...

Serce biło mocno, gdyśmy to wszystko słyszeli, w głębi duszy kołatało jedyne, wysnione pragnienie: byle prędzej, prędzej!

Jako też wkrótce ujrzeliśmy widome znaki powieści oczekiwanych zmian w postaci polskich roplanów. Dumne te, piękne ptaki krążyły orlim tem nad mieściną stale od godziny 5 m. 30 rano do g. 7-ej wieczorem, robiąc staranne wywiady zyci nieprzyjaciela i ruchu pociągów.

Nasze aeroplany! Jako żołnierz I korpusu jen. wbor-Muśnickiego widziałem już naszą, polską siacę, — dla moich druhów jednak był to widok znany a radosny — skakali też jak małe dzieci ściskali się, mówiąc: O! to już blisko! Rzeczywiście, wszystko za szybkim rozwiązaniem przemałało. Nasze szybkoce przeszły od wywiadów do intensywnego zręczania bomb, skutki którego były groźne: kilka domów doszczętnie rozbitych, a w którym mieścił się sztab brygady bolszewickiej ugodzony został celnie dużą bombą i cały pochotany.

6-go lipca rozpoczęła się ewakuacja Łuninca.

Strzały armatnie słycały wyraźnie — widocznie wy toczą się blisko. Bolszewicy wywożą, co tylko mogą. I moja biblioteka też wyjechała... a nawet, bronjo losu! sam musiałem przy tem pomagać.

Nagle, jak piorun z jasnego nieba, pada rozkaz o mobilizacji wszystkich mężczyzn w wieku 18-tu do 45-ciu lat.

Ludność w powyższym wieku zaczęto chwycać w ulicach, poszukiwać w domach, szopach, ogrodach — a znalezionych wśród szturchańców i wysłań odprowadzano pod strażą na stację, ładono do pociągów towarowych i wywożono włąb sji.

Trzeba było się ukrywać.

Łuniniec wydał nam się wtedy bardzo niemiłym miasteczkiem. Druhowi moi ulokowani zostali przez jedną córkę państwa L. w szpitalu Duńskiego Czeronego Krzyża, w baraku dla... chorych na tyfus! Spodziewano się, i słusznie, że tam bolszewicy

nie odważą się robić rewizji, — ryzykowano zaś dużo — bo zdrowie.

Moja sytuacja, jako pracownika bolszewickiego była jednak stokroć gorszą.

Bolszewicy wypłacili nam pensje. Otrzymałem za dwa tygodnie pracy tysiąc pięćset rubli czyli akurat tyle, ile kosztowała mnie droga z Kijowa do Warszawy, inaczej mówiąc, będąc skazanym na śmierć i poszukiwanym uciekłem z bolszewickiego rajna na koszt bolszewików.

Następnie osobnym rozkazem włączyli wszystkich swoich pracowników-inteligentów do specjalnego oddziału komunistycznego, naznaczając zbiórki i podając do wiadomości, że kto się nie stawia, ten będzie uważany za kontrrewolucjonistę i rostrzelany.

Miała perspektywa — ani słowa!

Musiałem i ja uciekać — i robiłem to z rozpaczliwą determinacją, gdyż czułem już drugi wyrok śmierci za plecami...

Zdecydowałem się szybko.

Na kilka godzin przed naznaczoną przez bolszewików zbiórką siedziałem już cichutko, jak mysz pod miotłą, w stodole na sianie w jednym z ogrodów Łuninca, zaopatrzony w trzy funty chleba i pół funta cukru t. j. wszystką żywność, którą mogłem wynaleźć i zakupić. W dodatku kosztował mnie ten wielki zapas około dwustu rubli.

Nie ukrywałem się sam: miałem kolegów w postaci dwóch Polaków i jednego przebranego kadrowego oficera rosyjskiego. Co kilka godzin miał do nas zaglądać mały chłopiec, krewny jednego z moich współtowarzyszy niedoli, właściciela wspomnianej sfodoly — i informować co się dzieje w mieście.

Zmęczeni denerwującymi wypadkami ostatniego tygodnia zasnęliśmy szybko i spaliliśmy aż do wieczora.

O zn roku przybiegl nasz chlopeczyna i zaalarmował komunikując, że bolszewicy urządzają szczegółową obławę w całym miasteczku.

Trzeba było działać.

Postanowiliśmy ukryć się w błotach i lasach. Korzystając z ciemności i ulewnej deszczu ruszyliśmy biegiem przez opłotki i ogrody, chcąc możliwie szybko wydostać się na otwarte pole. Na ulicach stały posterunki milicji. Jakimi drogami, przez jakie płoty, ogrody, rowy i kałuże przedostaliśmy się — nie umiałbym dzisiaj opowiedzieć. Dość, że po trzech kwadransach wyszliśmy na ugory zamiejskie i piaski, pocięte dawnymi okopami z czasu wojny prusko-moskiewskiej.

Kilka razy przewróciłem się o druty kolezaste drąc rzetelnie ubranie i buty.

Dopadliśmy wreszcie łąnów żyta.

Ukryci w bródzie — odpoczywaliśmy, dysząc ciężko.

Gdzie byliśmy, dokładnie nie umiał żaden z nas określić.

Wiedzieliśmy tylko, że za nami mia tęczę i śmierć, a przed nami las i życie.

Tymczasem burza rozszalała się na dobre.

Rozpetane żywioły zdawały się harmonizować z tym straszonym rozpetaniem złych namiętności i złości ludzkiej, jaką nacechowane jest życie w bolszewji.

Niebo co chwila jaśniało ogniem przepięknych błyskawic, oświetlających na sekundę okolice.

Wysunąłem głowę, zacząłem się rozglądać.

Błysk — i wyraźnie ujrzałem o jakie pięćdziesiąt kroków na prawo od nas sylwetkę stojącego na wzgórkach żołnierza bolszewickiego.

Drugi błysk — spojrzałem na lewo — nieco dalej — też człowiek z karabinem.

Zdrętwiałem.

Szepnąłem do ucha najbliższego kolegi: „wleźli między dwie warty bolszewickie — trzeba zmykać!”

Chwila wahania.

Cofać się jednak nie mamy po co — więc ostrożnie, na czworakach w błocie wzdłuż brzozy zaczynamy się posuwać naprzód.

W głowie myśli mkną jedna za drugą z błyskawiczną szybkością. Zdajemy sobie instynktownie sprawę z całej grozy położenia. Z obawą spoglądamy na każdą błyskawicę, stajemy co chwila z zartym oddechem. Brniemy dalej. Za polem żyta musi się jeszcze ciągnąć tor kolejowy, przez który trzeba przejść. Daj Boże, aby tam nie było posterunków.

Jestem cały mokry, gorąco mi, czuję, że po półrocznej głodówce nie mam już dawnych sił.

Byle prędzej, prędzej dostać się do lasu...

Nagle — strzał.

Za nim drugi, trzeci, dziesiąty... przechodzą stopniowo w dokuczliwy, dobrze znany mi suchy trzask.

Kładziemy się w kałuży.

Słuchamy.

Po pewnym czasie orientujemy się, że strzały padają przed nami, układając się wzdłuż linii leżącej prawdopodobnie na skraju lasu, do którego zmierzamy.

Isć więc naprzód nie mamy po co — chyba po kulę.

Jesteśmy w worku.

Nie mówimy nic do siebie. Czujemy — że to już koniec.

Przed oczyma przechodzi mi w kilku sekundach całe moje życie, dom, rodzice, druhowie z pracy organizacyjnej — wszystko to widzę jak na dłoni. Krótki był rachunek sumienia.

Po chwili ogarnia mnie uczucie szalonej wściekłości.

Odzywam się półgłosem: „Jak zdychać, to zdychać ale psia krew! żywy się nie dam!”

W odpowiedzi otrzymuję od najbliższego sąsiada solidne uderzenie pięścią w bok i czuję „Zatknij się, ty!”

Otrzeźwiałem.

Zaczynam mrużyć sobie pod nosem dla równowagi zdanie Baden — Powell'a: „Nie mów, że umierasz, dopóki żyjesz!”

Rzeczywiście, po co my się mamy martwić. Niech się bolszewicy martwią, bo jeśli nawet zwyciężymy, to i tak za kilka dni napewno nasi dadzą im w skórę!

Jednak — co robić?!

Instynkt samozachowawczy zmusza nas do szybkiej, spokojnej narady. Postanawiamy czekać. Może nad ranem korzystając z dużych mgieł i oparów uda się nam wymknąć. Może w mieście już ukończono rewizję i można będzie znów wrócić do szopy... Może... zresztą, czy my wiemy, co? Czekamy.

Mija godzina, druga. — Jest już dobrze północ. Burza przeszła, mży uparty, niemilodeszczek. Rosyjski szynel chroni mnie od całkowitego przemoczenia, lecz zimno zaczyna dokuczać. Półkam proszek chinny, aby zabezpieczyć się przed febrą. Wybieram bardziej suche miejsce, kładę się i powoli, powoli powieki poczynają opadać. Drzemię.

Po pewnym czasie przejmujące do szpiku kości zimno budzi mnie.

Jestem cały zdrętwiały, głowa boli. Rozglądam się dookoła.

Na świecie już szaro świt się zbliża. Stwierdzam z zadowoleniem, że mgły i opary są bardzo duże, o kilka kroków nie absolutnie nie widać.

Jednak — gdzie są moi koledzy?

Dookoła wydeptana ziemia, zgniecione żyta — a ludzi ani śladu...

— No, widać opuścili mnie, gdym spał — jestem

Tak?! Dobrze! Dam sobie sam radę!

Pocynam czułgać się w kierunku miasteczka. Cicho, ostrożnie, aby nie zwrócić uwagi posterunków wroga. Ciężka to była praca, umazałem się w błocie sumiennie. Dotarłem szczęśliwie do końca żywca, wydostałem się na otwarte pole. Skaczę przez stare okopy i dobrze mi znane druty.

Łunienca, wież, drzew czy jakich innych znaków orientacyjnych nie widać wcale. Kierującą „węch harcnerski“. Idę szybkim krokiem, pragnąc oddać się możliwie prędko od fatalnego miejsca. No i choć trochę rozgrzać swoje skostniałe członki. Po czterdziestu minutach wytężonego marszu mały wrazenie, że znajduję się już pod samym miasteczkiem.

Nagle — wiatr rozwiewa opary i o kilka kroków przedemną wyrasta wylot... armaty polowej

armacie stoi żołnierz z karabinem, sennym krokiem spogląda na mnie.

— Wleź! Heniek na baterję. Trzeba robić — przemknęło mi jak wicher.

Robię więc jeszcze kilka energicznych kroków i wołam:

„Towariszecz, gdzie komendant?!“ — (towarisz, gdzie jest komendant*).

Żołnierz, który prawdopodobnie wziął mnie ciężki ubranie za jakiegoś prawdziwego towarzysza, wracającego z placówek, odpowiada: „Idi, towariszecz, na wozzał — tam jego najdziesz“.

Maszperuję więc dalej, starając się możliwie poprzedzić oddanie od baterji.

Po chwili czuję, że jest mi niezmiernie wesoło. Nie mogę się powstrzymać i zaczynam gwizdać: „Miała baba koguta, koguta — i t. d.

Mgły rzędną.

Sylwetki domów Łunienca występują wyraźniej. Wkrótce idę tak zwaną „główną ulicą“, robiąc najniewinniejszą minę, na jaką mnie stać. Ulica szczęście pusta. Dopiero w środku nieomal mieszka spotykam patrol złożony z miliejanów.

Idąc, że mnie spostrzegli, wyciągam z kieszeni walek chleba i zagryzając go obojętnie — maszeruję wprost na patrol. Zawczasu zaczynam krzyżeć: „E! Towariszeczy, gdzie komendant?! Ja posłanemu s' baterji!“

W odpowiedzi: „Stupaj na wozzał!“

— „Spasiba, towariszeczy!“ — odmrukuje i znikam w bocznych ulicach, posyłając w duchu mało dostrzegawczym miliejanom uprzejme: a niech was sny kanarek!

Dotarłem na koniec do upragnionego miejsca. Odejrzliwie spozieram dookoła — nikogo nie widać. Łączę więc przez płot, przebiegam szybko ogród, wsuwam deskę, parę szczebli po drabince i — o rozszyszy! Wyciągam się z błogim uczuciem na sianie opuszczonej wczoraj wieczorem stodoły.

Zmęczenie robi swoje.

Zасыpiam też prawie momentalnie, mało zwracając uwagi na bolszewików, ani na grające w oddali armaty, ani na nasz aeroplan, który zaczyna rzucać bomby.

— — — — —

Budzi mnie jakiś nieokreślony hałas. Dookoła ciemno. Noc.

Słucham. Słyszę wyraźnie ostrożne kroki kilku ludzi. Drabinka, prowadząca do mnie na górę, zaczyna skrzypieć.

Kto to może być?

Jeżeli bolszewicy, to niech ich wilk nastraszy! (Jak mawiał mój przyjaciel Tadzio) — Zresztą, nie kradałoby się chyba tak tajemniczo, skończyliby mną bez ceremonji.

Zamieniam się cały w słuch.

— — — — —

— Hej! Zawołać mi kaprala! — dolatuje do mnie nad ranem energiczny głos.

— Co to jest?! Czy mnie słuch nie myli?! Czyżby...!

— Tak! To nasi!!! *)

Przeskakuję przez płot. Dookoła żołnierze. Jeden z nich łapie mnie za rękaw i woła: — Stój! Bolszewik!

Śmiejąc się, odpowiadam: — Taki ja, bracie, bolszewik — jak i ty! zaprowadź mnie do oficera! — A no... dobrze! Prowadzą mnie!

Dolatują do mnie słowa wypowiedziane półgłosem: „Ten skaut, to już pewnie tu siedzi!“

A! To moi „wierni“ koledzy! — Witam ich uprzejmie. Z tonu odpowiedzi wyczuwam jednak, że są zawstydzeni swoim niezbyt koleżeńskim postępkiem w życiu. Tulali się cały dzień po różnych ogrodach, chowali w krzakach, raz nawet zostali zauważeni i musieli ratować życie swe przez wytężoną szybkość ruchu kończyn dolnych — słowem, gorzko im się działo. Zmęczeni są strasznie.

Głód odczuwamy wszyscy wcale nie dwuznacznie.

Na szczęście zjawia się wkrótce nasz chłopiec-łącznik, przynosząc chleb i mleko. Załatwiamy się z tem szybko, słuchając równocześnie świeżych wiadomości.

Otóż, ofensywa polska rozwija się pomyślnie, bolszewicy mogą łąda chwila Łunieniec opuścić, mogą też jednak siedzieć jeszcze kilka dni. W mieszkaniach naszych były rewizje, bo u mnie przychodzono aż pięć razy. Wielu złapanych rozstrzelano. Co jutro przyniesie, nikt nie wie...

Obław w mieście już niema, lecz rewizje od czasu do czasu robią w różnych punktach.

No, trudna rada, jak będzie trzeba, to znów umkniemy — tylko w innym kierunku!

— — — — —

I rzeczywiście, wkrótce trzeba było opuścić miasto i tulać się znów przez całe dwie ciężkie i prerażające długie doby. Los sprzyjał nam jednak. Omijamy szczęśliwie wszelkie niebezpieczeństwa.

Wieczorem dnia 9-go lipca wracamy znów do szopy, zmordowani szalenie, zrezygnowani w zupełności.

— — — — —

— Hej! Zawołać mi kaprala! — dolatuje do mnie nad ranem energiczny głos.

— Co to jest?! Czy mnie słuch nie myli?! Czyżby...!

— Tak! To nasi!!! *)

Przeskakuję przez płot. Dookoła żołnierze. Jeden z nich łapie mnie za rękaw i woła: — Stój! Bolszewik!

Śmiejąc się, odpowiadam: — Taki ja, bracie, bolszewik — jak i ty! zaprowadź mnie do oficera!

— A no... dobrze! Prowadzą mnie!

Spotykamy majora żandarmerji polowej. Wyjaśniam, skąd i dlaczego. Demonstruję moją legitymację na płótnie. W czasie rozmowy wyjaśniam, że znam rodzinę majora z ziemi Kaliskiej, gdzie sam też mam licznych krewnych. W rezultacie

*) Łunieniec został zdobyty przez nasze wojska 10-go lipca 1919 r.

otrzymując obietnicę wszelkich ułatwień, przepustkę, i idę z żandarmami robić polowanie na ukrytych bolszewików.

Byli oni w mieście jeszcze przed kilku godzinami. „Czeczczyczajka“ zdążyła nad ranem rozstrzelać sześciu ludzi, schwytanych za niestawienie się do „krasnoj armji“. — W ostatniej chwili komisarze wsiedli do opancerzonego pociągu i zdołali umknąć — kilku jednak kryło się na miejscu. Wyteżone poszukiwania trwały cały dzień i dały dodatnie rezultaty.

Na rynku spotykam Bolka. Jest już uzbrojony w karabin i tarmosi żydka-fotografa, zabierając mu wszystkie fotografie bolszewików. Cały stos klisz i odbitek wędruje do żandarmerji, ułatwiając wyszukiwanie prawdziwych winowajców.

Następnego dnia jedziemy koniami do Pińska. Po drodze na każdym niemal kroku widnieją ślady niedawnych walk — w postaci wneków strzeleckich, zasieków, drutów kolezastych, wysadzonych mostów. Przejeżdżając fatalnymi groblami przez przeogromne bagna zdajemy sobie dopiero należytą sprawę, jakim szaleństwem byłaby wyprawa samotrzeć w takim terenie pomiędzy placówkami wroga.

W Pińsku zostajemy nader gościnnie przyjęci przez miejscowych harcerczy i harcerczki. W kontrwywiadzie dajemy informacje o wojskach bolszewickich, nastrosząc sytuację wewnętrzną.

Zwiedzamy też miasto.

Imponuje nam przedewszystkiem ład, rycerska pełna animuszu postawa naszych wojaków — no i obfitość i taniość produktów żywnościowych.

Mietek nie może wytrzymać, pożera literalnie całą puszkę mleka skondensowanego, pomimo naszych ostrzeżeń. Mieliśmy też z nim później kłopot w dalszej drodze.

A czy potrzebuję pisać, z jaką radością i dumą spędzaliśmy kilka dni w naszej pięknej Warszawie?

Czy potrzebuję dodawać, że kurs instruktorski w Zwierzyńcu Zamojskim wydał nam się rajem na ziemi?!

Spotkałem tam kilku członków N. H., którzy później odemnie wyruszyli z Kijowa przez front ukraiński i dotarli do celu w niespełna tydzień. Szczęście dopisywało im więcej, niż nam. Dowiedziałem się wtedy, że Mietek W. jest zaaresztowany, że i moja siostra brano do „czeczczyczajki“ — lecz dzięki uprzejmym odpowiedziom przy badaniu została następnie zwolniona.

Odpoczęliśmy na kursie, nabraliśmy nowych sił i energii do pracy.

A tyle jeszcze przed nami wszystkimi do zrobienia leży!

Wszak budujemy — Polskę!

— Druhowie! Pocztę kursową przynieśli! Biegniemy wesoło.

Biorę gazetę do ręki:

„Mordy bolszewickie“.

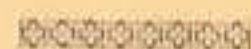
Organ polskich komunistów w Kijowie „Głos Komunisty“ podaje, że dnia 21 lipca w głównej komisji do walki z kontrrewolucją („czeczczyczajki“ zapadł wyrok skazujący na śmierć akademików polskich, aresztowanych w czystelni przy ul. Rejtarskiej.

Wyrok wykonano. Rozstrzelani zostali: Józef Kiernicki, Marjan Nekrasz, Karol Basiński, Sawicki Borkowski — przywódcy młodzieży akademickiej.

Były to nazwiska moich kolegów.

Cześć bohaterom!

St. Sz.



„Szlakiem Walki“.

(Kärtki z dziennika).

(ciąg dalszy)

Łabonary zwykle muszą być cichą nudną miejsciną, ożywiająca się znacznie w święta i niedziele. Obecnie dużo życia wprowadza tu wojsko. Wojny z jej grozą, pięknem i t. d., tutaj nie widac ledwie znać drugoplanowe jej objawy. Toć to cichą zapadła okolica, a przed sobą na kilkanaście wiorst mamy jeszcze dwie kompanje na właściwej linii — dalek dalej jeszcze o kilkanaście wiorst placówkę, za nią szeroki pas ziemi „nieczyjej“ i dopiero bolszewicy. Tu wygodnie ulokował się bataljon. Dowództwo i oficerowie na plebanji prowadzą wspólnie z pocztowym „kunigasem“ swoją *menaż* oficerską. Kancelarja baonu przeniosła się teraz z plebanji do budynku kancelarji gminnej — gdzie znakomicie i przestronno. Jakby jakieś wielkie biuro czy sztab całego frontu! Znalazły się nawet przyzwoite wcale „nie wojenne“ meble. Adjutant ma oddzielny pokój z wygodnym stołem, na którym spoczywają teczki, bibuły, pieczętki i t. d. Na osobnym stole rozłożona mapa, na niej czerwono oznaczona dyslokacja przeciwnika. W drugiej, obszernej izbie stoliki kancelistów, na ścianie przypięty „rozkład jazdy“ dla kancelarji: raporty poranne i wielodniowe, broni i amunicji, stanu taborów i prowiantu, szkice dyslokacyjne i pozycyjne i cały szereg innych jakich wymagają od nas wyższe dowództwa — co rano, co kilka dni, co dekadę, co miesiąc. Na specjalnej półce w przegródkach mieszczą się rozkazy baonu, pułku, brygady, dywizji. I jeszcze wielka półka: poczta. A ile i jakich papierów na

Linja obrony.

Adjutant mówi mi, żebym za pół godziny jechał robić szkic pozyeji odcinka 7 kompanji. A no biorę ołówek, jakąś tam teczkę z papierem, ostatni kawałek herbatnika, kupionego w kantynie (chleba nam właśnie nie dowieźli), parę ładunków z karabinkiem (zawsze tak wypadat); ładuję się na podwodę, będącą na „stójce“ przed kancelarją i ruszam. Powozi leciwa baba, niegadatiwa, zdaje się że nie wiele po polsku umie, więc oddany jestem całkowicie sobie i oglądaniu okolicy. Konikowi, a raczej niewieście nie spieszy się, więc wlecemy się wolno po piaszczystej przeważnie drodze wśród pól, ugorów i zagajników. Mijamy jakieś tymczasowe doły strzeleckie z przed kilku tygodni, potem zaścianek. Kierunek wskazuje mi, niegorzej od linii tramwaju w nieznanem mieście, drut telefoniczny fantazyjnie przerzucony po gałęziach, czasem okręcony o wysoki patyk, wsadzany w ziemię. Różne dróżki, nieoznaczone na mapie odchodzą w bok — trudno się co do nich zorientować — wogóle niemiecka mapa 1 : 100000 (powiększenie z podziałki 1 : 200000) jest wiele niezupełna. Za torem kolejki piękny, wysokopienny bór.

„Hallo! Czy piąta? Hallo!“

Nikt się nie odzywa, więc linja przerwana, więc wychodzi kilku druciarzy na patrol sprawdzać, połączyć gdzieś tam drut i znów przerzucić z gałęzi na gałąź czy z mocno chwiejnego kolka na inny. Już to druciarze naspacerują się!

Albo znów przyciska brzęczyk:

„Hallo! Hallo! Nowoświęciany! Połączcie z podgrupą!“ Po tysięcznych wołaniach rozpoczyna się nadawanie urzędowego fonogramu:

„Łabonary. Dn... godz...“

Do dowództwa podgrupy.

D-two baonu prosi — tak „prosi“, a nie „nosi“ — hallo! hallo! Co u Was tak źle słyhać — o przysłanie drutu — niech szlag trafi te zdobyte bolszewickie aparaty!

Wygodnie umieścił się w najczystszej szkolnym budynku nasz sanitarjat; obecnie niewiele mają *łapiduchy* do roboty, bo w izbie, chorych zaledwie paru niedomagających i jakiś lekcoranny w ostatniej wyprawie. Na magazyn mundurowy i broni zajęto chałupę, obok której znalazł się pusty sklepik na areszt cywilnych. Handel reprezentuje dziś jedynie sklep baonu (kantyna) dla żołnierzy, ale i ludność tutejsza może w nim kupić tak upragnionych zapalek, soli i innych artykułów. Żołnierski areszt przy wartowni. Kompanja, będąca w rezerwie, rozlokowała się plutonami po stodołach, podobnie też rezerwa K. K. M. Kto tylko może, dba o jaką taką wygodę, więc podoficerowie i cały oddział sztabowy pozajmowali sobie po kilku kwatery w chałupach. Ja wynajduję sobie bardzo wygodną i wyjątkowo czystą „paradną“ izbę u zamożnego gospodarza. Szkoda tylko, że niezbyt ciekawy towarzysz — dość ograniczony litwin, całymi dniami niewiele robi, śpiąc wciąż, a w rozmowie ze mną wyrzeka na wojnę, drożyznę, porządki i nieporządki tutejszego życia; bolszewików chciałby mieć jaknajdalej; ma słabe pojęcie o rządowej własności i dobrem państwowem, a żadnego o idealach narodowych. Jeszcze nawet nie wie do jakiego państwa chce należeć. Oprócz Polaków zdarzają się więc na tych obszarach i tacy ludzie.

Armja nasza zmienia tu wiele i wnosi nowe życie.

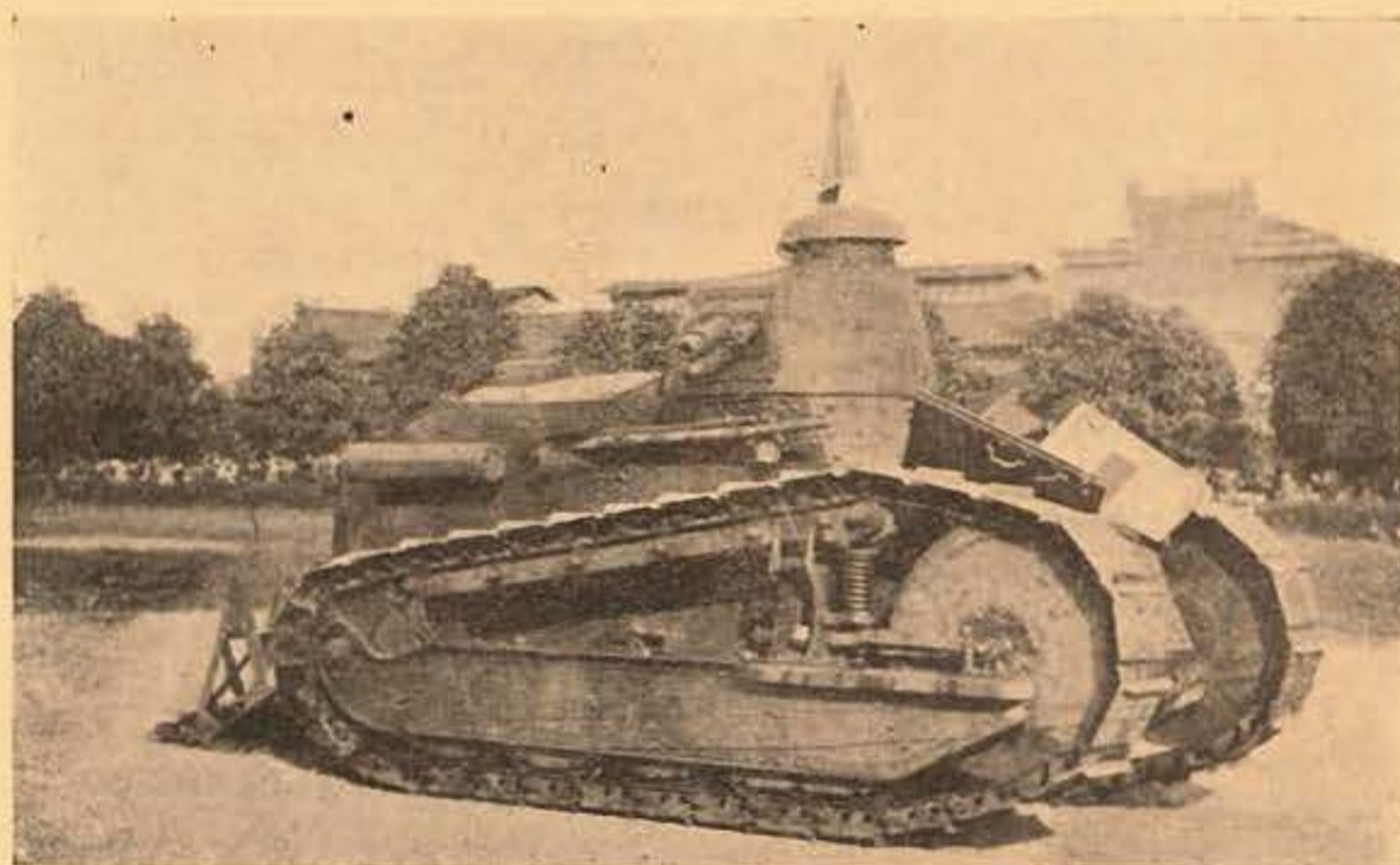
Wreszcie już koło godz. 14 dojeżdżam do Lyngmian. Bór dochodzi prawie do dwóch jezior wąskich (do 1,2 km.), a długich, stykających się ze sobą — zapewne dawne koryta jakiejś prawiczej rzeki — między jeziorami wąski z małym mostem przesmyk, groblą, czy jak to tam nazwać. Komplicacja ta tworzy jakby przyczółek mostowy. Po stronie zewnętrznej położone jest miasteczko, znacznie większe od Łabonar, z dużym murywanym kościołem, kilkoma ulicami, domami drewnianymi, ale okazalszemi i piętrowymi, kilkonastoma sklepikami, oczywiście żydowskiemi. Ruchu na ulicy prawie że niema — przecież handel zamarły, a ludność nie ma swobody podróżowania. Żołnierzy zamało, aby można było osądzić przez jakie wojsko Lyngmiany są zajęte. Tylko przed domkiem, będącym siedzibą dowódcy kompanji więcej ruchu.

W izbie drze się telefonista do tuby, siedzi szefsierżant nad jakimś papierem, pali sobie papieroza kapitan, dopiero co wyprawiwszy patrol. Zameldowawszy się, dostaje przepustkę i radę, żeby zacząć robotę od placówki Michaliszki. W Langmianach właśnie w toku kopanie rowów i odrutowywanie. Ruszam dalej, ku wschodowi.

Mijam posterunek, któremu się trzeba tłamać. Poszukuję z pewnym trudem właściwej drogi, bo jej na mapie niema oznaczonej. Jadę przez cudną okolicę, taż na północ od jeziora. Jestem już poza linją obrony, którą na naszym odcinku stanowią jeziora i obsadzone cieśniny, właśnie teraz umacniane. Tylko tyle, że hen naprzód o kilkanaście wiorst, ale w bok jest wysunięta placówka, no i wy-

słany patrol—nieprzyjaciel musiałby się na nie natknąć. Ale właściwie pomiędzy mną a bolszewikami w prostej linii nikogo już niema. A więc jeśli by się chciało czubarykowi, toby może tu wylazł z za jakiego drzewa. A więc jestem na ziemi „niczyjej”—ja tylko tutaj panem. Mile uczucie i nawet powiem miłsze od uczuć samotnej wędrowki gdzieś przez puszcę Kozienicką. Baba, oczywiście, nie wie o sytuacji, pochyłona, zdaje się zasypia. Karabin i teczka leżą sobie na wózku. Oddany różnym myślom podziwiam spokój przyrody w mijanej okolicy. Czysta toń co chwila ukazującego się jeziora, bujne trawy na łące, wierzchołki sosen w lasku wszystko skąpane w dobroczynnym jasnym

CZOŁGI POLSKIE (patrz artykuł w № 41—44).



Czołg „Aniela” widzimy z boku, na polu parku Sobieskiego.

słońcu. Cisza naokół, choć minąłem opodal drogi leżący dwór i wioskę.

Spotykam odpoczywającego w cieniu kaprała, idącego zmienić dowódcę placówki, którego przenoszą do innej kompanji. Mieścimy się razem na wózku i gadamy. Wreszcie powolny konik dowozi nas o te cztery wiorsty od Lyngmian, wyszukujemy Michaliszek, Zascianek o trzech zagrodach na wzgórzu przy lesie. Leży tuż nad jednym jeziorem, opodal w lesie małe jezioro, o kilkaset kroków duże jezioro Lyngmjańskie, wzdłuż którego jechaliśmy. Konik dostaje siana, my idziemy do chałupy.

„Wacek, jak się masz?”

Miła niespodzianka; dowódcą placówki jest kapral, harcerz, niedługo z mojego zastępu „Wil-

ków” s Warszawskiej im. Pułaskiego. Nie wiedział jeszcze, że tu przywędrował na front, więc można sobie wyobrazić jego zdziwienie.

Gadamy o wszystkim, rozpytuje się jak tu żyją. Piękna okolica, stąd bardzo miła placówka. W wielkiej chałupie mieszczą się niezłe dwie sekcje. Na dzień jedna tylko pojedyncza wedeta na wzgórzu ma przegląd całej okolicy.

„A cóż, w nocy wielkie zachowujecie ostrożności?”

„Ii — śpimy przeważnie, tyle tylko, że w butach—służby niewiele”

— „Ale wściekle jestem głodny: nie jadłem dziś obiadu, bo wyjechałem przed obiadem z ba-

taljonu, a przybyłem po obiedzie już do kompanji, nie zaopatrzony się na drogę”.

Wacek pożywia mnie kawaleczkiem chleba, jaki nam został i kawą.

— „Jakże tu jadacie?”

— A no podjeżdża kuchnia z obiadem i chlebem; kawę zaś bierzemy suchą i gotujemy wedle chęci”.

— A można coś dostać?”

— „Nie, chłopci dla siebie prawie nie do zjedzenia nie mają, nawet kropli mleka — trzeba skądś sprowadzać—jeźdźców za to są rybne”.

„Widzieliśmy właśnie, jak rybacy łowili”.

Rządowe jeziora—łowić w nich nie wolno — należy więc ukrócić samowolę w interesie państwa—dwaj chłopcy idą odpędzić rybaków — no i trzeba

nieprawie złowione skonfiskować — będziemy więc mieli rybki!!

— „Często się obsada placówki zmienia?”

„Zdaje się, że będzie co tydzień zmiana”.

Nowy dowódca przejmuje służbę, dopytuje się o szczegóły.

— Łączność przez patrol łącznikowy z 3 ludźmi na prawo do Kazimieszowa do 5 p. p. Leg.; w lewo do kompanji łącznik — przynajmniej raz dziennie”.

— Potym następuje zapytanie i odpowiedź o „morowych chłopcach”—na zastępcę dowódcy i na kucharza.

CZOŁGI POLSKIE (patrz artykuł w № 41—43)



Czołg od przodu z otwartymi drzwiczkami.

— „A cóż w razie napadu?”

— „Wysłać momentalnie łącznika do kompanji, placówka się cofa do przygotowanej linii okopów w lesie—zamaskowana może być znakomicie, będą jeszcze drutowania—i broni się dopóki może—zresztą za nami poleć lasu”.

Chociaż wąska ta cieśnina, to jednak wypada dla dwóch sekcji kilkaset kroków, czyli strzelec jeden od drugiego o dwadzieścia!

— „Ale bolszewiki tu nie przyjdą — powiadają mi — spokoj. Można robić co się chce”.

— „Tu wygodny front” — mówię.

— „Nie bardzo — placówka w Warniszkach musi się więcej pilnować. Piąta kompanja ma wogóle więcej do roboty—stoi na odcinku obok na lewo—

ma kilka placówek, ma cztery sekcje na placówce w Warniszkach o 18 wiorst przed sobą i wysyła na dzień po dwa patrole—jedną naprawdę po kilkanaście wiorst podwodami, ale też i nachodzą się. Siódma ma również wciąż patrole. Mało ludzi na wielkich przestrzeniach. — Dużo było robót, naprawdę częściowo przy pomocy cywilów, przy okopach, teraz znów trzeba będzie robić drutowania, tylko drut pomalą dowożą”.

Idę do roboty. Oglądam bieg jeziora, las, drogę, linje okopów. Nałaziwszy się i nakreśliwszy—nabieram wilezego apetytu.

W chałupie zastawiona uczta znakomita. Szkoda, że niema żadnej jarzyny, ani kawałka chleba. Oczywiście mniejsza o przyprawy; soli także tutaj wcale niema. Pysznie więc smakuje oryginalna, wymyślna potrawa: ryba gotowana w czystej wodzie—bez żadnych dodatków.

Pożywiwszy się, pod wieczór wracam razem z Wackiem do baonu—koń wlece się—rozmawiamy za to dowoli—to jest głównie opowiadam ja, bo Wacek wciąż pyta:

„My tutaj tak daleko, a cóż w Warszawie, w całym kraju, w harcerstwie?”

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wycieczka.

(Dokończenie do N-ru 37).

10-ciu poszło spać do stodoły. Na klepisku rozbiliśmy kilka snopów słomy i poczęło się lokowanie. Pochodzi do mnie Henryk i pyta, czy będzie w nocy alarm. Przysuwa się Władek i Józiek. Cheą koniecznie „nakryć” Heńka, gdy wsparty na kiju, jak Konrad Byrona na mieczu, będzie marzył przy księżycu, nad marnościami tego świata..

Trzeba ich tam w obozie poruszyć, bo pewnie, im zimno być musi w namiocie. Będą dłużej wycieczkę pamiętać. Zgoda!

O 12 wychodzimy. Tylko pociechu, by „malców” nie budzić.

Rozchodzimy się.. Każdy na swoje miejsce. Wszystko już się zmieniło. Dla mnie pozostało miejsce najjaśniejsze i najzimniejsze; pierwsze od progu. Taki już los komendanta! Zajmuję miejsce z całym „majestatem”.

Zimno... Księżyc otworzył buzię szeroko. Łysy elegant! Przymrużył oczy ironicznie i oświeca nasze posłania. Całe klepisko tonie w poświacie...

Owinąłem się kocem, jak mumia; pod głowę włożyłem zwiniętą kurtkę... Władek zagwizdał —

Capstryk!—Cisza. Trochę szmerów, śmiechów tłumionych—mileżenie. Wrota otwarte narosieją. Parobek, który nam snopy z góry pozrzucił, zostawił je w tym stanie. Czy dlatego, byśmy się nie podusili? Czy może tak ciepło? Nie wstawałem, by je zamknąć. Czekalem aż ktoś przeciw otwarciu zaprotestuje... Ale nikt się nie poruszał.. Zimno. Ściągamy mokre skarpetki, nogi wsuwamy w słomę. W myśl słusznej zasady trzeba „trzymać się ciepła“.

Czas płynie... Cicho w zagrodzie. Tylko pies kiedy niekiedy warunie. Nie mogę spać. Oby już była 12. Obok mnie śpi Józek na poduszce. Dowiecipny!—Zaopatrzył się w poszewkę! Trącam go. Odwraca się...

— Śpisz?

— Tak, trochę...

— Pewnie śpisz nie w swojej skórce!

— W swojej, w swojej... zamamrotał. Szczęśliwy — myślę — może spać!

— Jak Ci się zdaje:—niema 12-tej?

— Nie mam zegarka.

— Trzeba Władka obudzić.

Władek i Henryk spali na samym końcu Krzyżę przytłumionym głosem:—Władek!

— No?—Nie śpi.

— Która godzina? Trzeba wyruszać!

— Eee — szuka zegarka. Siada na posłaniu.

11 i pół. Jeszcze czas!

Znów cisza.

— No, wstawajcie!

Podnoszą się...

— Musimy się naradzić.

Za chwilę byliśmy już przed stodołą. Teraz stoi N. O 12 zmiana. Mamy więc 20 m. czasu. Podczas luzowania należy być blisko, by wykorzystać „pogawędkę“ wartowników. Teraz chodzi o to, czy uderzyć zaraz po 12, czy też później. Czy czekać, aż się „Henio“ znuży czuwaniem, czy zaraz, nie dając mu się nawet zorjentować. Stało na tym, że poczekamy, aż sobie trochę pomarzy i nabije mózg nużącymi substancjami. Idziemy... Mokra Rosa! Wzgórza oświetlone jasno, jak w dzień. Stąpamy cicho... Chłód przejmujący. Posuwamy się w cieniu drzew. Drzewa poczynają gęstnieć... Już niedaleko! Stadamy. Słyszymy jakieś szelesty. Ktoś wali po krzakach. To wartownik! Pewnie się zagrzewa. Naraz leci — zawraca — znów leci... Przystanęliśmy, jakby sobie dodał otuchy. Popędza się.

Ej! ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz, koczujesz? Czyś zaczął zając, co w twój skórce skacze? Gryziemy wargi. Jeden drugiego kopie. Henryk wpakował w usta chusteczkę, by nie parsknąć śmiechem.

Uciszyło się. Wartownik się oddalił. Spuszczamy się po pochyłości w dół na polanę. Biegniemy. Trawa głuży kroki. Znów pniemy się

na wzgórze. Wysyłamy Władka, by zbadał, gdzie jesteście. Znika. Ale i my nie możemy ustać na miejscu. Każdy na swoją rękę bada okolice. Naraz włączyć na Józka. Okazuje się, żeśmy obóz minęli. Z mroków wyłania się Henryk. Siadamy. Podwijamy nogi pod siebie.

Las szumi... Antyfonę jakąś szepcze... Potężne czarne pnie stoją nieruchomo, jak zakłęci rycerze, tylko ich pioropusze szeleszczą.. Jaka potęga bije od lasu!... Zachwyt ogarnia duszę, radość wielka. Zaduma poczyna nas zasnuwać.

Ukazuje się Henryk z Władkiem. Władek obleciał cały obóz. Był po drugiej stronie wzgórza. Henio już oparł swą „główkę“ na lasce i śpi. Godzina duchów minęła. Należy działać. Do obozu ze 100 m. Podsuwamy się. Skaczemy z piasku na piasek. Jakoś wartownika nie słyszał. Dzielimy się: Władek z Henrykiem sunie na wprost. Ja z Józkiem kieruję się ku rzece. Podejrzmy eichuteńko. Ani cienia szmeru! Dalej iść nie sposób. Przed nami polana. Do namiotu ze 20. Czekamy. Czujemy niemożliwość wykonania planu. Nim do namiotu dobiegniemy, by śpiących „wydusić“, wartownik narobi hałasu, ile wlezie, a przecież Władek z Henrykiem nie zaknebluje mu ust, bo włożyć knebel „słoniowi“ — to tosamo, co włożyć go do plecaka. Czekamy.. Nagle... Zaczęło się. Serca załotały.

— Stój! Kto tam? — Zaskrzeczał Henio... Wpadli!

— No! Kto tu? Wyłazić!

Słysząc tuczenie łaską po krzakach. Stoimy, jak wryci. Józek poczyna się ruszać.

— Czekajmy!

Gwizd.. Lew się zbudził! W obozie ruch. Zgiełk! Słychać dyskankę Stasia. Stasiak się rozwija.. Za chwilę tu będzie Wyrwamy... Przez rzeckę — hop! i w pole. Co kilkadziesiąt kroków padamy. Całe pole oświetlone. Żeby nas tylko nie spostrzeżono! Pot zalewa oczy... Do najbliższego drzewa ze 100x. Z obozu dol tują nas krzyki, łamanie gałęzi, trzask.. Pewnie przeszukują las.. Dobiegamy drzewa. Nie możemy złapać powietrza. Umazani, zakurzeni, zdyszani, ale wolni! Naradzamy się.. Zaalarmować stodołę? Nie! „mały“ narobili by wrzawy nie więcej!

Podsuniemy się, pod obóz... Co też oni tam robią.

Podejdzimy.. Wszystko w obozie. Cicho. Ale czujemy, że nie śpią. Oczekują na nas. Henio w dalszym ciągu „drobną stapa nóżką“. Chcemy obejść obóz. Usłyszeli nas. — Kto tam? Stój!

Cofamy się pociechu. Stasiak rozwija linję tyraljerską. Stajemy...

Są coraz bliżej... Jednego widzę za krzakiem, jak na taicy...

Wyciągam gwizdek. Długi gwizd. Zatrzymali się. Robimy wielki hałas:

Udajemy, że nas jest dużo... W ten sposób ukrywa się nieliczność oddziału.

Linja nieprzyjacielska skamieniała, a my powoli, eichutko wycotujemy się.

Stanęliśmy na wzgórzu. Oddychamy pełną pierśią.

Wpadamy na nowy fortel „wojenny“! Udajemy się do obozu, jako nietykalni parlamentarjusze. Przyjmują nas owaacyjnie. Henio skacze najwyżej. Gdy się dowiedzieli, że jesteśmy wysłanymi śpiących w stodołę wyciągnęły im się buzie i zakrzyczeli:—Zdrada!—ale już było zapóźno!

Henio poczyna o swych przygodach.

Pękaliśmy ze śmiechu. Henio bezprzeecznie przejdzie do złotej księgi Harcerstwa.

Ale dość żartów. Stasiak jest bardzo śpiący. Oczkami mruga, jak mała Nel z „W pustyni i w puszczy“

Wracamy do stodoły.. Ścieżka przechodzi pod gruszkami. Na trawie pełno owoców. Zbieramy.

Władek nabierał najwięcej, więc krzyczymy:—Do podziału! Co twoje, to moje! Co moje, to twoje!

Przed stodołą podział łupów. Przez 20 m. nie nie mówiliśmy, choć usta nam się nie zamykały... Wreszcie spać

Nagle Władek dopada do mnie:

— Pamiętaj, coś mówił wczoraj? Jedzenie rano jest złotem, w południe srebrem, a wieczorem ołowiem.—Pamiętasz?

Owszem! Ale nieraz ołów jest tak słodki, że... rozumiecie? Zresztą, to się nie tyczyło gruszek.

Józek zarżał ze śmiechu... Dziwnie on się śmieje. Koń by tak nie potrafił.

Położyliśmy się. Wkrótce zasnęliśmy. O 6 pobudka. Brrr! Nie chciało się wstać! Gdzie przykład? Hop! na nogi.

— Wstawać! Myć się!

Pobiegliśmy, jak jelenie do wody. Do południa nie gadano o niczem, jeno o nocnym alarmie. Dowiecip Henia osiągnął laury.

Homunculus z Pabjan c.

Z naszych wycieczek.

— Wycieczka! — Dobrze,

— Z noclegiem w polu, — Bardzo dobrze.

— I z alarmem! — Jeszcze lepiej.

Plan gotów w szczegółach. Rozeszliśmy się z wesołymi minami, po mądrych uwagach, zadowoleni z niespodzianek jakie się szykują dla naszych chłopców.

Zbiórka. Dwie godziny mijają, jak oddział wolontariuszów wyszedł obławowany wszystkimi płótnami namiotowymi. Acha, pierwsza niespodzianka! Poczoby brali namioty, jeśli nie poto, by rozbić obóz i przygotować dla nas choćby wygodne posłania.

Uzbrojeni w łaski, toporki i inne narzędzia nieśmiercionośne, maszerujemy różnym krokiem w kierunku jeziora X, gdzie na wzgórze — 74 — nieprzyjacieli.

Ściemnia się, a my jeszcze nie na miejscu, więc nie jeden druh rzuca spojrzenie w stronę czerniącego boru i ruszających się pod wpływem wiatru, przydrożnych krzaków.

Hej komendancie, a gdzie to nas prowadzisz! Czy daleko obóz? Jam kolacji nie jadł.

A tu szosa prosta — można nią iść choć do rana i jeszcze dłużej.

— Stój.. Patrol na ochotnika, Szukać obozu! Idzie jeden patrol, idzie drugi.

Jeszcze kawałek jasnego nieba widać, a tam już czarny bór stoi, techną jakąś wielką powagą, pochylony w zadumie, na nas uwagi nie zwraca.

No, no — i gdzie obóz? Niech go las ogarnie! Gwizdek... Hasło. Patrol wraca.

— I co? — I nic...

— Marsz! — Wchodzimy między drzewa. Ciemno.

— Rynsztunek zdjąć, koca na rękę. Kilka kroków od linii zbiórki układamy się do snu na miękkiej murawie zasłanej kocem pod dachem z konarów, pomiędzy którymi widać gwiazdziste niebo.

I cisza. Słychać jeno poszum lekkiej gałęzi. Słychać jeno przedziwną grę nocną leśnych głębin. I wszystko to zlewa się w całość harmonijną, przesłanną jakąś pieśnią.

A pieśń ta gra i gra i kołysze i wraz z zapachem idącym od żywicznych drzew i kwiatnych łąk łącząc się, upaja, odurza i usypia.

Hej! sen.. A sny przyszły piękne — przejasne a rycerze, boje gdzieś krwawe z wielką rzeźbą, co to siłę przynosi olbrzymi a męstwa. Średniowieczni harcerze z pohańcem... Migają szablice, i świszczą strzały... Wtem gwizd ostry, że zdążyło się, iż strzała tatarska tuż koło ucha przeleciała.

Zniknęło wszystko.

— A to co, komendancie, stój, poczekaj, gdzie moi rycerze!

— Pięć minut czasu! Z rynsztunkiem zbiórka. Nie, jesteście. Czekamy. Gwizdek słychać wciąż po lesie,

Jeszcze słońce nie ukazało się z za drzew, ale już wschód rozjaśniony.

Gwizdek bliżej, wreszcie spostrzegami postacie naszych druhów, którzy oczekiwali z gotowym obozem. Tu dopiero nastąpiło powitanie gorące, że bez kija nie podchodzi. W końcu gdy zorza poranna objęła półkrag niebieski, popłynęła w dal przestrzenną pieśń na jej powitanie.

Z życia drużyn.

Wieczór harcerski Okręgu Warszawskiego. D. 25 października r. b. w Konserwatorium Muzycznym odbył się wieczór harcerski p. n. z. „Co się działo na harcerskich kursach i kolonjach“.

Reżyserował dh. I. Grabowski.

Na wstępie wygłosił dh. St. Sedlaczek, w zastępstwie Naczelnego Inspektora druha Strumilly, referat, który jakkolwiek zawierał nie mało ciekawych wniosków na temat kolonji i kursów, nie zdołał przykuć uwagi słuchających, palających widocznie niecierpliwością ujrzenia żywych produkcji życia harcerskiego.

Do najbardziej udanych i starannie przygotowanych występów, należały: „chór“—który z braku dostatecznej ilości głosów harcerskich był uprzejmie zasilony głosami kolegów ze szkoły Górskiego.

„Chór kucharek“—które w paru ładnych piosenkach wyraziły pogląd na ten swój fach;

„dzień harcerski“—odznaczający się nie tylko dobrym wykonaniem lecz też prawdziwym humorem i dowcipem; „turniej konny“—wykonany ładnie i prawidłowo; „sygnalizacja“—ćwiczenia wykonane sprawnie i malowniczo, wzbudzając dla wykonawców ogólną sympatię (trochę może za dużo było chodzenia);

„Chińska polka“—zachwycając widza harmonijną całością ruchów, kostiumów i muzyki;

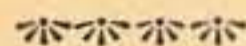
„Orkiestra obozowa“ i „pociąg“—pierwszy raz zaimprovizowane w Warszawie,—wywołując na sali nieopisaną wzbuch entuzjazmu, dla tej nowej formy humoru harcerskiego.

Do rzeczy mniej udanych, poniekąd wytłumaczonych ciasnością sceny, lecz z drugiej strony i mniejszą starannością w wykonaniu były harcerskie i gimnastyka. Dość ospale wypadł też alarm mocny, w którym szczególnie nieudaną była scena z podchodzeniem warty.

Do rzeczy zupełnie nieudanych należały obrazy świetlne. Klisze pozostawiały bardzo wiele do życzenia i były mało ciekawe. Całość dobrze zilustrowała, jak nie należy robić przedstawienia z latarnią magiczną i podniosła, jak zwykle w takich wypadkach „nastroj“ na sali.

Na zakończenie trzeba dodać, że sala była szalenie zapełniona gośćmi, harcerkami i harcerzami. Wieczór rozpoczął się punktualnie w pół godziny po terminie. Na sali porządku pilnował zastęp służbowy, straż ogniową stanowił zastęp harcerzy strażaków. Naogół wrażenie z wieczornicy więcej dodatnie niż ujemne, dało nie mało doświadczenia na przyszłość.

Widz.



Od Redakcji i Administracji „HARCERZA“.

Prosimy niżej wymienionych prenumeratorów o uregulowanie zaległej należności za „Harcerza“:

1) Mława p. Cybulski	2 egz.	IV kw.	19 m.	20 f.
2) Latowicz dr-na	2	II	17	—
3) Gostynin p. Baltuszajtis	1	IV	3	60
4) Opatów p. Jędrza	2	II półr.	34	34
5) Końskie p. Ziemiński	9	II	153	—
6) Białystok insp. harc.	1	II	17	—

Prenumerata (wraz z przesyłką pocztową) wynosi miesięcznie 3 Mk. 20 f. Kwartalnie 9 Mk. Półrocznie 17 Mk.

Adres Redakcji i Administracji: Krakowskie-Przedmieście № 5, telefon 145-54 od 4-6 (wejście od ul. Traugutta 2—K. D. H.)

Redaktor: Alojzy Pawełek

Wydawnictwo Naczelnego Inspektoratu

Drukarnia „Gazeta Rolnicza“, spółka z ogr. odp., Warszawa, Złota 24.

Klische „Helios“, Warecka 12.

7) Radzyń p. Malinowski	1	IV kw.	9	60
8) Sokółów p. Ryciak	1	II półr.	17	—
9) Będzin p. Wierzbowski	1	II	17	—
10) Puławy p. Dmochowski	1	II	17	—
11) Garwolin p. Gąsowski	1	IV kw.	8	60
12) Ozorków p. Rojek	9	II półr.	34	—
13) Słupce p. Morawski	2	II	34	—
14) Kalisz p. Matawowski	1	II	17	—
15) Kraków p. Biernakiewicz	1	IV kw.	9	60
16) Białystok p. Homan	1	IV	9	60
17) Bliżyn d-na harcerska	2	IV	19	20
18) Kraśnik Lub. dr na	4	IV	38	40
19) Zawiercie dr-na Kościuszki	3	IV	28	80
20) Dębica p. Grodziński	1	II	17	—
21) Gorlice p. Mnerke	1	IV kw.	9	60
22) Zawiercie p. Kubiczyńska	3	II półr.	51	—
23) Wilno p. Wrzesniowski	1	II	17	—
24) Olsztyń gimn. męskie	6	IV kw.	57	60
25) Włocławek p. Kwiatkowski	1	II półr.	14	—
26) Białystok ks. Janikowski	1	IV kw.	9	60
27) Ostrow Łom. dr ny żeńskie	1	IV	9	50
28) Kielce p. Krawczykówna	1	IV	9	60
29) Łomża p. Jarnuszkiewicz	1	IV	9	60
30) Olsztyń p. Tocikowska	1	IV	9	60
31) Kielce p. Posłowski	1	II półr.	14	—
32) Kielce 6-ta męska	5	IV kw.	48	—
33) Kalisz dr-na żeńskie	1	IV	3	60
34) Ozorków p. Gieppert	1	IV	9	60
35) Przemyśl p. Mundrykówna	1	II półr.	17	—
36) Wilno IX dr-na męska	1	IV kw.	3	60
37) Rzeszów p. Lusiakówna	1	IV	9	60
38) Radom p. Lipiński	1	IV	9	60
39) Leżajsk p. Depowski	1	IV	9	60
40) Wieluń p. Jasiński	1	IV	8	60

Wymienionym środowiskom i osobom w roku 1920 wstrzymujemy wysyłanie „Harcerza“ aż do uregulowania zaległej prenumeraty.

Proszę o podanie za pośrednictwem pisma, co się stało z harcerzem tarnopolskim, **Henrykiem Wasowskim**, szereg. 23 p. II Baonu, VII K. Dostał się on do niewoli ukraińskiej 5 stycznia 1919 r., został wywieziony do Strusowa i tam rzekomo jest pochowany.

Gazety podały nekrologi **Tadeusza Marendowskiego**, harcerza. Pogłosce zaprzecza inna późniejsza—głosząca, że druh T. Marendowski wyleczył się z rany, którą miano za śmiertelną i przebywał w niewoli w Kamieńcu.

Na fundusz stypendjalny imienia **ś. p. Jurka Boguskiego**, w imieniu Aleksandrowskiej męskiej drużyny harcerskiej na Rusi Rubli 100 złożyła dr-na Goleczyńska 5 kwietnia 1919 r.

W jednym z większych miast Królestwa zaginęła **VII-ma drużyna**. Łaskawego znalazcę uprasza się o odprowadzenie za odpowiednim wynagrodzeniem do Komendy miasta, we wtorki między 17—19 godz.

40000